ROK CZWARTY.

—

№ 28.

WARSZAWA

D. 28 czerwca (10 lipca) 1859.

Niedziela 4ta po Świątkach.



REDAKCYA CZYTELNI przy ulicy Chmielnéj Nr. 1527.

Prenumerata rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie kop. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15, Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Prosimy Cię Panie! udziel nam łaski, iżby i ciek okoliczności świata w twym porządku łagodnie dla nas był urządzany, i twój kościół z spokojnéj pobożności się radował. (Kollekta na Niedzielę 4tą po Świątkach.

Cmentarz.

—

Wyraz *cmentarz* znaczy miejsce snu. Chrześcianie to pierwsi nadali to imie miejscu, gdzie spoczywają umarli. W oczach katolickiego kościoła śmierć niczem więcej nie jest, jak snem, ponieważ miejsce, gdzie spoczywają ci, co niegdyś żyli, jest tylko miejscem zaśnienia; sen zaś każe się domyślać koniecznie przebudzenia. Czyż podobna więc wymówić ten wyraz cmentarz, bez wyznania wiary w zmartwychwstanie, wiary pełnéj pociech dla dobrych, a najstraszniejszéj dla złych?

Od samego początku kościół okazywał jak największą cześć dla śmiertelnych szczątków swoich dzieci. To poszanowanie dla umarłych jest zarazem nauką dla żyjących, aby sami siebie szanowali. Wszakże kościół, którym najwyższa kieruje mądrość, jak z jednéj, tak i z drugiéj strony unikał ostateczności, w jaką zwykle wpadali poganie. Egipcyanie balsamowali umarłych, zamykali w trumnach i przechowywali po domach, jakby jakie drogie skarby; kościół nasz nie przejął tego zwyczaju. Rzymianie przeciwnie palili zwłoki umarłych, i przechowywali same tylko popioły. Ten sposób postępowania ze szczątkami człowieka, którego pamięć godną jest zachowania, ma w sobie coś nieludzkiego. Przyczem dawni pogańscy Rzymianie zwyczaj ten rozciągali jedynie do swych krewnych i przyjaciół; bo co się tyczy owego ludu niewolniczego, co ich wtedy otaczał, z tym po śmierci z taką samą obchodzili się pogardą, jak i za życia, to jest ciała niewolników bez ładu rzucano do obszernych podziemiów, lub zostawiono na pastwę drapieżnego zwierza.

Powszechnym zwyczajem u starożytnych, z wyjątkiem Egipcyan, było stawiać groby na

polach, przy drogach publicznych, po samotnych pieczarach lub ogrodach. Kościół katolicki wprowadził zwyczaj daleko właściwszy do przechowania tkliwego wspomnienia o zmarłych. A naprzód zniósł obyczaj palenia umarłych; jest bowiem daleko lepiej dać ciału grób w ziemi i tym sposobem urzeczywistnić przepowiednię, którą Bóg zapowiedział upadłemu człowiekowi: *Proch jesteś i w proch się obrócisz*, *wracając do ziemi*, *z którejeś wzięty*. Następnie kościół postanowił, aby umarli grzebani byli na jedném miejscu, niedaleko jego świątyni, a to, aby mógł czuwać nad zgasłemi pokoleniami, jak czuwa matka nad kolebką uśpionego dziecięcia.

Wszystkie cmentarze są poświęcane; zwyczaj poświęcania cmentarzów sięga kolebki chrześciaństwa. Religia, która tyle razy człowiekowi błogosławi, religia, która błogosławi jego pola, jego łąki, jego pokarmy, jego nawet trzody i jego mieszkanie, a błogosławiąc to wszystko, co go otacza, co z nim się styka, przypomina mu jego własną świętość, taż sama religia błogosławi także i poświęca miejsce doczesnego spoczynku, a tym sposobem daje mu do poznania, że śmierć nie pozbawia go świętości, że nie przestaje on być przedmiotem godnym poszanowania, nawet wtedy, kiedy zamieniony w proch spoczywa w grobie.

To poświęcanie naszego ostatniego zamieszkania jest źródłem wielu nauk nader pożytecznych dla żyjących; oto są szczegóły tego obrzędu.

Naprzód przez poszanowanie dla cmentarza święcenie jego zastrzeżone jest Biskupowi, i tylko za jego pozwoleniem może go dopełnić kapłan. Im bardziej człowiek zbliża się do prochu i nicestwa, tem większem religia otacza go poszanowaniem.

Dniem pierwej stawia się na środku cmentarza krzyż drewniany wysokości człowieka, z trzema ostro zakończonemi kołkami do świec, to jest jednym na samym wierzchu, a dwoma po końcach ramion bocznych. Przed krzyżem zatyka się w ziemię pal na dwie stopy wysoki, mający u wierzchołka trzy ostrza podobne do tych, co się znajdują na ramionach krzyża.

Cóż ma znaczyć to przygotowanie, napozór do zrozumienia trudne? W religii wszystko jest wielkie, wszystko pełne tajemnic. Ten krzyż drewniany wyobraża Zbawiciela świata, Zbawiciela, który jest zmartwychwstaniem i żywotem! Ten pal białawy, któryby można było wziąć za goleń obnażoną, jest obrazem człowieka, który przez śmierć staje się podobnym do suchego i na nic nieprzydatnego drzewa. Noc nadchodząca po zatknięciu krzyża przypomina ciemności grobu, obrzęd zaś, który się odbywa nazajutrz, jest żywym obrazem zmartwychwstania. Ten krzyż nad palem wznoszący się mówi głośno, że Jezus Chrystus opiekuje się i w grobie zwłokami ludzkiemi, że je ręką swoją ochrania, i że je w dniu naznaczonym do życia przywrócić potrafi.

Nazajutrz Biskup lub kapłan do tej ceremonii przez Biskupa naznaczony przyodziany komżą, stułą i kapą białą udaje się na cmentarz. Używa się do tego kolor biały, albowiem ma się odbyć obrzęd radosny, albowiem ma być oznajmioną tajemnica pocieszająca. Kapłan z resztą duchowieństwa staje przed krzyżem. Przy jego boku znajdują się trzej akolici; pierwszy niesie kropielnicę, drugi kadzielnicę, a ostatni trzy świece, które zapaliwszy, ustawia na palu do ich umieszczenia przeznaczonym.

Na tem drzewie soków i życia pozbawionem, co jest wiernym obrazem człowieka złożonego w grobie, utkwione te świece gorejące zapowiadają zmartwychwstanie. Ich liczba oznacza Trójcę Swiętą, w której imie i której mocą zmartwychwstanie to nastąpi. Modlitwa, jaką niezadługo potem odmawia kapłan, pokazuje ducha tych pięknych ceremonij. Oto są jej wyrazy: O wszechmocny, pełen miłosierdzia Boże, który jesteś dusz stróżem, kotwicą zbawienia i nadziei wiernych, wysłuchaj łaskawie pokornej prośby naszej i racz błogosławieństwem twojem niebieskiem oczyścić to miejsce i poświęcić je, aby ciała tych, którzy tu spoczywać będą, po przebyciu drogi tego życia, zasłużyły w dzień Sądu wielkiego na błogosławioną nieśmiertelność i uczestnictwo w wiecznej szczęśliwości z duszami sprawiedliwych.

Po tej modlitwie duchowieństwo i wierni klękają przed krzyżem i wzywają wszystkich braci swoich w niebie o połączenie błagań dla otrzymania potrzebnych łask

i błogosławieństwa, tojest śpiewają litanię do wszystkich Świętych. Po odśpiewaniu celebrujący z duchowieństwem processyonalnie obchodzi cmentarz dokoła, kropiąc go wodą święconą i powtarzając te słowa: *Pokropisz mnie Panie hyzopem, a będę oczyszczony*. Podczas tej ceremonii chór śpiewa psalm: Miserere (*Zmiłuj się nademną*); kapłan znowu powraca do krzyża, i przesyła następującą modlitwę: O Boże Stworzycielu świata, Odkupicielu rodzaju ludzkiego i Opiekunie wszystkich stworzeń widzialnych i niewidzialnych, prosimy Cię głosem błagającym, z sercem Tobie oddanem, racz oczyścić, pobłogosławić i poświęcić ten cmentarz, na którym po tem życiu spoczywać będą ciała wiernych twoich. O Panie, któryś przez niezmierzone miłosierdzie swoje odpuścił wszystkie grzechy tym, którzy całą swoję nadzieję w Tobie położyli, udziel łaskawie pocieszenia wiecznego ciałom tych, którzy tu spoczywać będą, czekając głosu trąby twego archanioła.

Po tych ostatnich wyrazach, ktoremi kapłan obwieszcza przyszłe zmartwychwstanie, następuje ceremonia, będąca żywym jego obrazem. Kapłan zdejmuje z pala gorejące świece i zatyka je na trzech ostrzach krzyża. Czyn ten mówi do człowieka: Nadzieja zmartwychwstania, która wraz z tobą zstąpiła do grobu, będzie urzeczywistniona przez Jezusa Chrystusa. Tyś jest jego członkiem, a On twoim panem; On zmartwychwstał... spojrzyj, ciało Jego już jaśnieje nieśmiertelnością.

Następnie pal się wyjmuje, a krzyż zostawia. On tu pozostaje, aby mówił do wszystkich pokoleń: zmartwychwstaniecie, Odkupiciel wasz żyje. On czuwa nad wami, On zatknął chorągiew swojego zwycięztwa na tem samem miejscu, gdzie was śmierć zwyciężyła. Kapłan nie widząc w krzyżu nic więcej oprócz Boga, którego krzyż wystawia, oddaje mu pełen czci pokłon, trzykrotnie okadza go, a potem odchodzi.

O ludzie! nie lękajcie się już teraz śmierci; niedługo zostawać będziecie jéj pastwą. Patrzcie na godło zmartwychwstania i nieśmiertelności, która was czeka na samem nawet miejscu pogrzebania waszego.

Żebrak i wieśniacy.

Było to w roku 183... We wsi Płużycach, na rozdrożu pod figurą siadł stary żebrak i prosił chleba. Nikt nie wiedział, zkąd się wziął, zkąd przyszedł; wiedziano tylko, że miał białą jak śnieg brodę, że przyniósł z sobą rękę i nogę roztrzaskane kulą, smutne, a może zaszczytne zdobycze długiego żywota, starą książkę z pieśniami, torbę pełną okruchów i kilkanaście święconych obrazków.

Zwolna wioska zaznajamiała się z żebrakiem, ztąd i zowąd rzucano mu czarną kromkę chleba, i nikt nie narzekał na nowego gościa, któremu należało coś ustąpić z swoich własnych potrzeb. Najstalej jednak pamiętało o nim młode, jasnowłose pacholę, pasące trzodę na łące. Franek syn kmiecia zamieszkującego chałupę nad traktem pilnował kilkunastu owiec swego ojca... Co dzień rankiem wypadała mu droga koło krzyża; znał dobrze tę drogę, tyle razy szedł po niej bosemi nogami, z biczem pod pachą i z wierzbową piszczałką w ręku; znał ten krzyż, tyle razy przed nim zdejmował czapeczkę i nachylał głowę. Jednego razu szedł zakłopotany, bo mu się owce rozpierzchły po gościńcu i zdejmował czapkę, nie patrząc na figurę, kiedy nagle usłyszał zpod niej głos i pobożne powitanie.

Chłopiec poskoczył naprzód, wnet się jednak opamiętał, przystanął i odpowiedział, zobaczywszy siedzącego na ziemi starca z roztrzaskaną ręką i nogą.

Tak się rozpoczęła znajomość Franka z żebrakiem Antonim; odtąd chłopiec codzień przystawał pod krzyżem, rozmawiał z dziadem, oddawał mu połowę śniadania i zagrawszy na piszczałce, aż się na całej łące rozlegało, pędził za owcami, nie słysząc przestrogi starego:

Ostrożnie, chłopcze, szanuj nogi, widzisz jak to źle kulawemu żebrakowi.

Jednego dnia Antoni podarował Frankowi prześliczny obrazek, u dołu napisane było: *Swięty Franciszek*. Ale chłopiec nie umiał przeczytać napisu; dziadek obiecał wytłumaczyć litery w dzień świąteczny i upominał go, żeby przyszedł na naukę czytania. Dziecię ucieszone podarkiem pobiegło do chaty, opowiadając ojcu cuda o siwym dziadzie, co siedzi

pod figurą, modli się i rozdaje obrazki. Michał chciał poznać żebraka i podziękować mu za zbawienne słowa, jakie nieraz z ust syna słyszał; wyszli więc oba na drogę. Dziecię biegło przodem, prowadząc ojca drożyną śród dwóch zielonych łąk. Śpiew pobożny i dwa poczerniałe ramiona krzyża wskazały im miejsce pobytu starca. Siedział na ziemi; drewniana kula i książka z pieśniami leżała przy nim, kawałki chleba, kołaczy i séra powyjmowane z torby bielały na murawie.

Powitanie było proste.

— Dziadku! mieliście dzisiaj dzień szczęśliwy, rzekł Michał, spoglądając na sér i kołacze; poczciwi ludzie pamiętali o was.

Stary wstrząsnął głową.

— Albož nie powinni pamiętać o wędrownym dziadzie, co chwilkę siadł gościną na ich ziemi? albož niesłusznie dać kilka kłosów temu, co śród suszy uprasza o deszcz, śród powodzi o słońce, co jak żywa figura z rozwartemi ciągle ramiony nad wioską woła, błaga i śpiewa:

Od powietrza głodu, ognia i wojny wybaw nas Panie!

Wy śpicie jeszcze, dziad wędrowny już idzie z torbą przez pole, użyzniając je modlitwą jak najrańszą rosą, a kiedy każdy z was spoczywa wieczorem, on ostatni odmawia nad wami: *Pod Twoją obronę*. Jego oczy ciągle zwrócone do Boga za wami; urodzaj i zdrowie on wyprasza. Nie załujcież mu więc chleba, którego on, jeśli nie skropił kroplami potu, to łez, i na który, jeśli nie dzisiaj niedołężną ręką, to może kiedyś zarobił. Kto wie, czybyście mieli tyle snopów, gdyby ich część nie miała przejśdź w ręce ubóstwa.

Michał uczuł łzę w oku, Franuś stał milczący. Niewiele zrozumiał ze słów starca, lecz zdziwił go jego uroczysty ton mowy; wreszcie wieśniak wyciągnął ręce do dziada i ściskając go, rzekł:

— O! tak, tak; ubogi jest błogosławieństwem sioła, błogosławieństwem chaty. Dlatego ojcze, proszę cię, nawiedź moje domostwo, pójdź pod moją strzechę spędzić dzień świąteczny; prześpisz, jak można, a rano pójdziesz znowu dzwonić na mszę świętą.

Antoni nie dziękował za gościnę, z uwagą tylko wpatrywał się w twarz wieśniaka i ściskał w ręku siwą jak śnieg brodę, po chwili zaś powstał z ziemi i dążąc ku chacie Michała, gwarzył z Frankiem skaczącym po miedzy, lub wypytywał kmiecia o dawnych dziedziców Płużyc, o dawnego plebana, o najstarszych gospodarzy pomarłych przed laty.

Wieśniak z zadziwieniem spoglądał na dziada, znającego tak dobrze przeszłość wioski i następnie obsypywał go pytaniami. Nic jednak nie wskórał, stary uśmiechał się smętnie i wstrząsając głową, odpowiadał:

— Ot tak... człowiek pyta się, żeby wiedział za kogo ma zmówić wieczny odpoczynek.

Przyjemnym wieczornym chłodem zaszli zwolna przed chatę, gdzie gospodyni sporządzała wieczerzę, śpiewając psalm jakiś i spoglądając na ciemnowłose dziewczątko, kręcące się po izbie.

Powitano gościa wesoło; wnet miska z kluskami stanęła na ławie i rozdano łyżki. Po wieczerzy siedli wszyscy przed chatą, słuchając nauczających słów starca; gospodarz i gospodyni okazywali cześć dla jego siwych włosów. Franek i Rózia, która także dostała święcony obrazek, ciągle się przy nim kręcili; wszystko z chaty wyległo, nawet Kundys pies domowy położył się przy nogach na trawie.

Odtąd Antoni był codziennym gościem Michałów, od czasu do czasu tylko wychodził dzwonić w kościele, użebrać grosz jaki na tabakę i wracał do chaty wieśniaka uczyć czytać Franka, śpiewać psalmy z Michałową, z Michałem mówić o gospodarce, o obowiązkach człowieka i prawić dzieciom cuda o wodzu, co mu było Józef na imie i co utonął gdzieś daleko w rzeczce zwanej Elsterą.

Tak czas uchodził i nieznacznie wprowadzał zmiany w dom Michała. Michał słuchając mądrych rad żebraka, coraz ulepszał gospodarstwo i narzędzia, bydło się poprawiało, w chacie było jakoś milej, pobożniej. Marta wyrabiała piękne płótna, Rózia prządła, skakała, śpiewała i rosła jak bławatek w zbożu śród poważnych zabiegów i trudów rodzicielskich. Franek nie pasł już trzody; wyuczony przez Antoniego wielu pożytecznych rzeczy, pomagał ojcu w polu i przyuczał się rzemiosła w kuźni. Szybko lata płynęły chłopcu; z pacholęcia wyrosł na młodziana, a mając zapał do pracy i stosowne do niej wiadomości

z nauk żebraka, ukochał go jak drugiego ojca. Na wiosnę Antoni oznajmił Michałom, że się powinni na czas jakiś z synem rozłączyć, że chłopiec musi nabrać doświadczenia i sprobować sił własnych, wędrując po krajowych kuźniach i zwiedzając gospodarstwa u swoich, jako też i u pobliskich dobrze gospodarujących kolonistów.

Ani ojciec, ani matka nie śmieli się sprzeciwić starcowi, którego mądrość znali; dobyto więc ze skrzynki węzełek talarów, tłómoczek, parę butów, trochę séra i chleba. Antoni przepisał drogę dla młodego wędrownika i cała rodzina wyprowadziła go na gościniec, gdzie u rozstajnych dróg kończy się wioska i tam pożegnano młodzieńca.

Długo smutni rodzice patrzyli za odchodzącym, długo Rózia wyrzucała dziadkowi, po co wyprawił jej brata; Antoni uśmiechając się dla pokrycia łzy ćmiącej oko, brał jej ręce i mówił:

— Zobaczysz go niedługo, zobaczysz.

I znów wszyscy wrócili do dawnej pracy. Żebrak jak przedtem przyjmował chleb od swoich dobroczyńców, nie mówiąc nic o wdzięczności, szczerze tylko pomagał Michałowi, pocieszał kobietę, wyuczał Rózię prześlicznych rzeczy. Czasami jednak, kiedy stawiano przed nim pierwszy talerz, spędzał z czoła głębokie wzruszenie i mówił niby ostro:

— Ha! broniłem was, kiedyście byli dziećmi, moja ręka i noga strzaskane, są tego świadkiem, żywcież mnie teraz; dałem wam moję rękę, dajcież mi za to chleb i łyżkę.

Ale nie zawsze jest cisza i szczęście i pod niską strzechą; często grom zamiast rzucać się na olbrzymi dąb, coby mu umiał dostać, zgniata kruchą lepiankę, jaskółcze gniazdo, z którego pisklęta wypadają na ziemię.

Tak się stało i z Michałem.. Pożar spalił mu chatę, zostawił bez dachu i odzienia, bez pługa i stodoły; nie było ziarna do zasiewu ni do jadła, płócienny warsztat Marty spłonął także, został im tylko święcony obrazek, ocalony na piersiach Rózi.

Antoni wytrawny, doświadczony podniósł najpierwszy głowę w nieszczęściu; obejrzał pozostałe ściany, belki, sufity i namówił Michała do sklepania jakiegobądź dachu nad alkierzem, gdzieby można pomieścić kobiety. Jakoż wieśniak uznawszy praktyczność tej rady, wziął się ze zbolałem sercem do roboty i w kilka dni stanęła izba, w której biedna rodzina znalazła schronienie.

Pożar na jesieni, to prawdziwa klęska dla rolnika, którego cała chudoba w stodole; możecie więc sobie wystawić, co się działo u Michałów. Już wieczór, oni jeszcze nie jedli. Michał kończy dach słomiany i nie może iść na najem, biedna kobieta gdzież pójdzie, kiedy i w innych chatach i we dworze płomień wiele dostatku pochłonął; Rózia trzynastoletnia dziewczyna, cóż ona zarobi? Przędłaby nici i płótno, lecz gdzież warsztat, kółko? Przestała skakać, przestała śpiewać, to wszystko, co może z siebie uczynić.

Aż oto drzwi się otwierają i słychać głos:

— Niech będzie pochwalony!

Matka i córka powstają; Antoni zmęczony ciężarem, z którym mimo kulawej nogi podążał co siły, składa na ziemi torbę użebranego chleba, kartofli i soli. Biedna rodzina podnosi ręce do nieba i milczy. Rozpalono ogień w kominie, zgotowano kartofle, wszyscy siedli na ziemi, bo nie było stołka.

Tak upłynęło dni wiele; Antoni żywił swoich dobroczyńców i codzień znosił łyżkę strawy. Michał zaczynał już podnosić się z ubóstwa, gdy nowe nieszczęście we drzwi zapukało, gorsze od ognia, gorsze od powodzi, bo płomień i fala zabiorą chudobę, a blada śmierć zabiera ulubione dziecię i pociechę matki grzebie na cmentarzu. Choroba szerzyła się w wiosce i śliczna, dobra, wesoła Rózia padła jej ofiarą! Biedna, nie zobaczyła więcej brata! Wyniesiono ją z ubogiej izby przy śpiewaniu pieśni i rozpaczy rodziców, nawet Antoni łez nie tłumił, lecz i spokoju nie stracił; bo nad tym starcem świeciło jakieś światło niebieskie z góry zesłane, głęboka wiara i męztwo chrześciańskie.

Osmutniała strasznie chata Michała; cisza i ciemność ją zaległy, jak po zgaśnieciu srebrnej lampy przed obrazem Matki Boskiej. Michał wołał na wszystkie strony syna jako ostatniego ratunku, syn nie wracał jeszcze; z niedołężnością dziecka pozwolił się żywić żebrakowi i z ponurą boleścią patrzył z okienka izby na wieś, nad którą się srożyła choroba. Widział blade twarze chorych i bledsze oblicza tych, co wracali z pogrzebu; szczęśliwy, kto ją pobożnem przetrwa sercem, kto w

mieczu pozna prawicę Boga i nieupadły, niebluźnierczy, lecz mężny i cnotliwy doczeka nowej pogody.

Kiedy tak wieśniak cierpiał przy swojem oknie, zawołano go przed chatę.

Michał otworzył drzwi i wyszedł.

Wybladły, napół pijany sąsiad czekał na niego; włosy jego były roztargane, suknie w nieładzie, głupowatość w oczach.

— Co chcesz, Wojciechu, zapytał niespokojnie wieśniak.

Sąsiad w miejsce odpowiedzi wskazał ręką na karczmę.

— Więc cóż? rzekł znowu Michał.

— Więc cóż? powtórzył Wojciech, to karczma, pójdź doń zemną sąsiedzie, utopimy troskę w kwaterce gorzałki; dawnać to przypowieść: dobry trunek na frasunek.

— Czy doświadczaliście tego, zagadnął kmieć w zamyśleniu.

— Oho! kumie, albo raz? Palniesz jednę miarkę i drugą, padniesz pod ławę i śpisz. jak Bóg dał, nie wiedząc, że tam płomień spalił ci chudobę, że choroba dziecko zabrała; człowiek zna, że się już z tej biedy nie podniesie, niechże ją prześpi przynajmniej.

Mowa Wojciecha dotknęła w samo serce Michała; ścisnął zęby z boleści i sięgnął ręką po czapkę leżącą na oknie. Ale mu rękę przytrzymano i w oknie ukazała się siwa broda i surowa twarz Antoniego. Michał zrozumiał wyraz tej twarzy i zmieszał się; znał tę twarz od niejakiego czasu pozbawioną wesołości, ale natchnioną pięknością pieśni i psalmów pobożnych, puścił więc czapkę, gdy żebrak mówił:

— Michale, pociechą rozumnej duszy jest kościół nie karczma; kto w chwili boskiej próby, kary i klęski zalewa wódką przytomność, przesypia najuroczystszy obowiązek uległości chrześciańskiej. Człowiekże to, wziąwszy od Boga tysiączne łaski, w chwilowej boleści zapomina się i mówi zuchwale: kiedy mnie w tej chwili panie, nie dajesz tego, cobym mieć chciał, ja się modlić nie myślę: pójdę gorszy niż bezrozumne zwierzę i upiwszy się, zapomnę, że żyję — nie chcę korzystać z najwyższej szkoły cierpienia, ani z przykładu tych, co przetrwawszy próby, wzięli błogosławieństwo. Michale, chceszże się liczyć do podobnych ludzi? Cóż powie Bóg, któremu tylekroć powtarzałeś: święty, święty, święty! co powie twój syn, wróciwszy do domu, w co się obróci kobieta, wyczekująca, żeby ją męztwo twoje podniosło. Nie lepiejże otrzeć splakane oczy i powiedziawszy: Bóg dał, Bóg wziął, zabrać się do pracy? Masz kawał gruntu, puść połowę w dzierżawę, za czynsz kup ziarna, zaorz i obsiej; zimę jakotako przepchniemy, a gdy przyjdzie nowe lato i nowe zboże zazłoci się na niwie, pójdziem ze łzami schylić się po dary boskie.

Michał uścisnął rękę Antoniego i rzekł Wojciechowi:

— Sąsiedzie, słuchajmy tego mądrego człowieka; jego rada zawsze była dobrą.

Wojciech powiódł pijanym wzrokiem i potoczywszy się do karczmy, powtarzał sobie: Słuchajmy, słuchajmy.

Michał spojrzał na niego ze drżeniem, a Antoni szepnął: Patrzaj, oto są skutki złego nałogu!

Nazajutrz obadwa zajęli się wyszukaniem dzierżawcy; jakoż znalazł się młynarz, co najął chętnie grunta, i wszystko poszło dobrze. Praca rozjaśniała zorane czoło kmiecia i smutek jego żony; przepchali zimę jak było można, pomógł im do tego chleb dziada i zapomoga od pana, który otrząsnąwszy się nieco z własnej biedy, pospieszył hojną ręką wesprzeć podupadłych włościan. Stanowczą jednak ulgą był dla nich powrót syna, który przyniósł im zdrowe ręce, zaszczytne świadectwa i sto talarów zarobione w gościnnych kuźniach.

Radość w chacie Michała odżyła nanowo, a gdy z wiosną cała rodzina i Antoni wyszli na świat boży, gdy zakwitły gaje i łany, gdy zdrowie, swoboda i spokój unosiły się w powietrzu jak ptaki radosne, Antoni spojrzał w niebo i rzekł:

— Szczęśliwy, kto wytrwa w burzy i doczeka z czystem sercem pogody.

Przed wszystkiemi chatami wieśniacy krzątali się wesoło, nagradzając pracą nadwerężone mienie, u Wojciecha tylko dzieci odarte tarzały się w piasku.

Michał zakrył oczy, Antoni powiedział:

— Po upadku ducha trudno się dźwignąć; ani pańskie zapomogi, ani praca żony nie pomogą pijącemu. Franciszku! niech ci to bę-

dzie nauką w wypadkach, jakie twój ojciec przetrwał.

— Tak jest, odrzekł wieśniak, przetrwałem je, bo byłeś moim aniołem-stróżem.

Żebrak nic nie odrzekł i w milczeniu wszyscy zasiedli na ławie, patrząc, jak wszystko odżyło na świecie, wszystko... prócz Rózi!

Godziny po robocie.

IV.

— Wytłumaczyłem wam w przeszłej naszej pogawędce, rzekł Dorosz do przybyłej znowu przed jego domek gromady, że konieczność zaspokajania potrzeb naszych zbiera ludzi w społeczeństwo; w niem człowiek znajduje łatwiejsze sposoby utrzymania swego bytu.

— Ale, proszę p. doktora, przerwał Jacenty cieśla, jakież ja na ten przykład mam korzyści z gromady, kiedy po całych dniach siedzę w lesie i obrabiam drzewo do ciesiołki?

— Zobaczysz zaraz, odpowiedział doktor; ale powiedz mi naprzód, dlaczego ty dnie całe trawisz na obróbce drzewa?

— To się rozumie samo przez się, odrzekł zapytany, aby zarobić na kawałek chleba.

— Więc dobrze, ale bez społeczeństwa ludzkiego, które tworzy i rozwija rękodzieła, na coby ci się przydało twoje drzewo? Ciesiołka twoja dlatego ci daje chleb, że w tem właśnie społeczeństwie są ludzie, którzy potrzebują twej roboty i płacą ci za nią pieniędzmi; inaczej, ty sam mój Jacenty musiałbyś myśleć o zaspokojeniu wszystkich twych potrzeb. Musiałbyś orać, siać zboże, zbierać je, musiałbyś rzucić pole, aby zemleć ziarno, a potem chleb z niego upiec. W następstwie byłbyś zmuszony opuścić znowu te konieczne roboty dla uszycia sobie sukmany, po tem dla naprawienia dachu na chałupie; żebyś zaś mógł sobie zrobić koszulę, musiałbyś uprawiać konopie, len, przerabiać je na płótno i t. p. Niedosyć na tem, byłbyś w konieczności zrobić sobie sam pług i inne narzędzia rolnicze, warsztat do robienia płótna, i tak musiałbyś być rolnikiem, cieślą, kowalem, tkaczem i t. d... życie twoje byłoby życiem dzikiego człowieka.

— No, to już i prawda, odezwał się Marcin Centka krawiec z Kalinówki; ale wszelako dużo jest ludzi na świecie, co używają więcej wygód i usług innych, a mniej im sami oddają.

— O jakichże to ludziach, chcesz mówić, zapytał Dorosz.

— O bogatych, ma się rozumieć, odparł krawiec.

— Zgoda! ale rozbierzmy twój zarzut na jakim przykładzie, to się lepiej zrozumiemy.

Ty jesteś krawcem, mówił Dorosz, robisz suknie dla bogatszych od siebie, ale czyż im robisz zadarmo?

— Nie, bo jakżebym mógł wyżyć.

— A zatem, jeżeli im ty oddajesz usługę, robiąc im ubranie, czyż oni nie wyrządzają ci równej, płacąc za nią pieniędzmi? Czyż i ci ludzie, o których mówisz, mają co zkąd zadarmo? czyż nie muszą płacić za wszystko, cokolwiek mieć pragną? A więc usługa za usługę, wygoda za wygodę.

— Ale ja daję dla bogatszych moję krwawą pracę, która mię tyle mozołu kosztowała, a oni mnie tylko pieniądze, które ich nic nie kosztują.

— Co cię to obchodzi mój Marcinie, jeżeli pieniądz, który ci dają, jest równy w wartości twej pracy, którą dla nich ponosisz; inaczej, pewnobyś dla nich nie robił, aniby oni u ciebie ubrania nie zamawiali — więc znowu usługa za usługę.

— Jednak społeczeństwo ludzkie więcej oddaje usług bogatym niżeli mnie; mają oni wszystko, co tylko zapragną: tłumy służących i lokajów czekają tylko na ich skinienie.

— Kochany Marcinie, przerwał p. Dorosz, jeżeli bogaci mają liczną służbę, służba ta nie trzyma się ich zadarmo — ale zobaczmy, ile też tobie ludzi usługuje.

— Alеż my nie mamy lokajów; ja, moja żona i dwoje dzieci sami sobie wszystko obsługujemy.

— A ja ci dowiodę mój Marcinie, że tłumy ludzi usługuje tobie, a nawet dzisiejszego rana odebrałeś usługi więcej jak tysiąca pracowników.

— To chyba żarty wielmożny panie!

— Nie, wcale nie żartuję; posłuchaj tylko. Powiedz mi, coś robił dziś rano, jakeś wstał z łóżka?

— A cóż? dokończyłem surduta dla naszego karczmarza, potem się ogoliłem, ubrałem, zjadłem śniadanie, zaciągnąłem do księgi rachunek i poszedłem z robotą do karczmarza.

— Bardzo dobrze; obliczmyż teraz, ilu ci ludzi rano usłużyło. Len, z którego zrobiono ci koszulę, sukno, z którego masz ubranie, skóra na buty, ileż to kosztowało pracy innych, nieznanych ci rąk, nim doszło do tego stanu, aby się na koszulę, surdut i obuwie zdało? Musiano ziemię uprawić, len zasiać, plić go, wyrywać, miedlić, oprząść na nici, zrobić z nich płótno, to wyblichować i dopiero sprzedawać; podobnież z suknem i skórą musiano postępować. A dom, w którym ty i twoja rodzina noc przepędziliście, czyż to cudem stanął? Nie, ileż to on materyałów i robotników wymagał, nim się stał schronieniem takiem, jakiem go dziś macie. Ręce twoje umyłeś mydłem, brodę ogoliłeś brzytwą, a przecież jedno i drugie musiało być naprzód wypracowane kosztem rąk innych, które się nie leniły. Książka, do której wciągnąłeś rachunek, pomyśl, ile potrzebowała pomysłu i pracy; trzeba było zrobić papier, obciąć, oprawić i dopiero mogłeś pisać. Mamże jeszcze ci mówić o twem śniadaniu, o chlebie, któryś spożywał, o kawie i cukrze, które wchodziły w skład twego pożywienia, zkądże się wzięły? a z pracy i mozołu tysiąca rąk ci nieznanych.

— Święta prawda, wykrzyknął Marcin, i ja nigdy nie pomyślałem, aby jeden ubogi rzemieślnik jak ja, tyle usług odbierał od społeczeństwa. Ale jednak jeszcze i teraz nie może mi się w głowiźnie pomieścić, jak to się dzieje, że tyle luda pracuje na jednego; to chyba inni muszą na tem szkodować.

— Nie, mój przyjacielu, każdy ma to, na co zasłużył i zapracował; w tem cała mądrość urządzenia ludzi, a mądrość ta zależy na *podziale pracy*, o czem wam kiedyś szerzej opowiem. Teraz zaś objaśnić was muszę tylko, że podział ow pracy zasadza się na tem, iż każdy zamiast aby się oddawał licznym zatrudnieniom, zajmuje się jedną tylko robotą. Życie nasze byłoby bardzo biednem, gdyby każdy z nas musiał sobie np. i surdut robić i glebę orać i dom budować.

Zgromadzenie się ludzi w społeczeństwa zapobiega właśnie temu złemu. Im się bardziej ludzie pomnażają, stosunki ich stają się częstszemi i sposobność zamieniania usług wzajemnych, łatwiejszą; a im zatrudnienia więcej się robią pojedyńczemi, tem lepiej praca się rozdziela. Ty np. Marcinie w Kalinówce robisz surduty, kamizelki, i t. p.; w większych miastach są krawcy, jedni, co tylko robią surduty, inni tylko kamizelki. A podział ten pracy mianowicie jest potrzebnym w warsztatach i fabrykach; tam każdy rzemieślnik i pracownik ma swój wydział. Dam wam za przykład jednę tylko fabrykacyę szpilek, z których każda musi przejść przez 15 albo 20 rąk, nim będzie zdolną do użytku. I tak: jeden ucina drut na długość szpilki, drugi robi łebki, trzeci zaostrza końce, inny poleruje, inny układa w papier i t. p. Jeszcze wam zrobię dziś obrachowanie co do wyrobu igieł, a to aby wam wykazać, jak praca jednego człowieka usługuje tysiącom innych. Jeden np. rzemieślnik wyrabia dziennie 1,800 sztuk igieł, a więc na rok wyrabia ich więcej jak 500,000 sztuk. Przypuśćmy, że jedna gospodyni zużywa na rok 50 igieł, a zatem rękodzielnik ten robi wygodę więcej jak 1,000 rodzinom każdego roku.

— Ach! to cuda prawie, zawołano gromadnie.

— Tak moi ludzie, prawdziwie to cudowne, a jednak rzecz sama prosta, tylko jej wykonanie nie może nam się jakoś w głowie dobrze ułożyć. Każdy oddaje tysiące usług innym, bo też i on tysiące ich od nich odbiera. Ludzie, od których doświadcza wzajemności, nie zawsze są tymi, którym on wyświadczał usługi; niektórzy z nich już może nie żyją, a drudzy jeszcze na świat nie przyszli. Nie wszystkie też usługi przez ludzi wzajemnie sobie czynione, są jednakowe, w ogólnym jednak rachunku równoważą się one. Iluż to cichych i poczciwych robotników pracuje w ukryciu, o których świat nawet nie wie, a Bóg tylko jeden widzi, zna i odpłaci za ich trudy i mozoły.

Dziękujmy więc Bogu za to, że Jego mądrość tak cudownie świat i ludzi urządziła, iż najbiedniejszy zpośród nas równe odbiera dobrodziejstwa. Jeden dzień jak widzicie biednego robotnika jakżeż jest bogatym w usługi dla innych, i ileż skarbów nawzajem z ich pracy odbiera!

W druk. J. Ungra.— Wolno drukować.— Warszawa d. 22 czerwca (4 lipca) 1859 r. Starszy cenzor *F. Sobieszczański*.